

## Wybryki oniryzmu 3

przełożył Miłosz Waligórski

Hotel postawiono na przełomie wieków w niegdysiejszym miejscu straceń. Jeszcze wcześniej palono tam czarownice, ostatni raz w roku 1688 – Maryskę Kuti. Całkiem możliwe, że wyroki wykonywano dokładnie tam, gdzie rozbłyskiwały teraz żółte, zielone, czerwone i niebieskie światła, a dudnienie muzyki disco zagłuszało chwilami i tak ledwie tłące się myśli. Hotel zbudowano w stylu secesyjnym, wprawdzie część kawiarnianą zagraciły z czasem automaty do gier, ale w restauracji nadal obsługiwali kelnerzy o przedwojennych manierach. Gulasz z dzika był wyśmienity. Balogh przerwał swój wywód o czarownicach i spytał Kontseka, czy smażona wątróbka jest odpowiednio miękka. Kontsek pochwalił ją, skrytykował natomiast wino:

– Przecież to jakaś lura niegodna dobrego imienia tego miejsca – orzekł. – W ogóle nie da się pić!

Balogh zapłacał. Kontsek spojrzął na zegarek. Całą drogę gnał na pełnym gazie niczym dziki pogromca amerykańskich autostrad.

– Żona nie będzie kręcić nosem – stwierdził z zadowoleniem. – Jeszcze przed północą dojedziemy do domu.

Baloghowi zrobiło się głupio. Przez trzy dni akcji werbunkowej o swojej nie pomyślał ani razu.

– Ja zostaję – oznajmił.

Kontsek łypnął okiem, na jego bladej twarzy wyraźnie odmalowywało się zmęczenie z trzech ostatnich dni.

– Jak to zostajesz?

– Tak jak mówię.

– W tej brudnej dziurze? Jedźmy stąd, zanim ktoś nas zadzga.

– Zostaję.

Kontsek spojrzął na niego błagalnie, po czym przybrał tak przerażoną minę, jakby ktoś właśnie ukradł mu portfel.

– No, ale dlaczego?

– Tu się urodziłem – odparł sucho Balogh.

Kontsek zapalił cygaro, ale zaraz nerwowo je zgasił, bo od dymu zebrało mu się na kaszel. Kręcił się na krześle niezgrabnie jak zółw. Brakowało mu jeszcze tylko okularów.

– No i co z tego? Przecież każdy gdzieś się urodził.

– Ale ja urodziłem się tutaj.

– I akurat teraz musiałeś to sobie przypomnieć?

– Można tak powiedzieć – opanowanym głosem odpowiedział Balogh.

Na parkingu przed hotelem z bagażnika auta wyciągnął swoją torbę. Wydała mu się ciężka, jakby kryła w sobie złoto. Na moment ugięły się pod nim kolana. Kontsek patrzył na te zmagania z bezpiecznej odległości i, zawzięty, nie kiwnął nawet palcem. Baloghowi gwałtownie skoczyło ciśnienie:

– Stoisz jak jakiś kołkowany weteran.

Kontsek rzutem na taśmę spróbował jeszcze jednego chwytu.

– Nie lubię jeździć sam. Co jeśli zasnę za kierownicą?

– Po prostu uważaj!

Pożegnali się. Pół minuty później Renault skręcił w prawo przy słupie ogłoszeniowym i zniknął Baloghowi z oczu. Możliwe, że na zawsze, pomyślał, ale zaraz się poprawił. Na pewno jeszcze spotkają się, w wieczności, i Kontsek przyzna mu rację, zrozumie, że nie mógł postąpić inaczej. Przecież każde pozornie bezsensowne działanie może w wieczności okazać się uzasadnione, a to, co niewyjaśnione, wcale nie musi być niedorzeczne.

Teraz, kiedy został sam, poczuł się trochę lepiej. Torba nie ciążyła mu już jak wcześniej. Było gwiazdzone niebo i Wielki Wóz zawisł nad miastem tak nisko, że przy odrobinie wysiłku Balogh mógłby złapać go za dyszel. W pamięci stanęły mu ostatnie sceny jednego amerykańskiego filmu. Dwoje młodych ludzi opuszcza leżące na skraju pustyni miasto. Reklamy supermarketu daremnie rozświetlają noc, na niebie lśni garstka gwiazd. Nagle wzmaga się wiatr i zrywa piaskowa burza. Za jej gęstniejącą zasłoną coraz bardziej jarzą się reklamy, w końcu zupełnie znikają. W kinie zapalają się światła.

Recepcjonista pamiętał go jeszcze z dawnych czasów, kiedy Balogh codziennie gościł w hotelowej kawiarni i jedną za drugą zdobywał dziewczyny o niekoniecznie purytańskiej moralności, dla których kawiarnia była jednocześnie domem i miejscem pracy. Recepcjonista nienawidził dyskoteki i automatów do gry. Miał delikatną, wonną duszę i czerwony goździk wpięty w butonierkę. Był szarmancki i rozmowny, skłonny do zwierzeń, ale nie natrętny. Za szczerość odwdzięczał się szczerością. Balogh zdradził mu, że na stare lata został dowódcą Patriotów Weteranów i właśnie wraca z ogólnokrajowej akcji werbunkowej. Recepcjonista z uznaniem pokiwał głową i pochwalił patriotów, a szczególnie ich dowódców. Balogha zalała gorzyc.

– Jakiś szczeniak pozdrowił mnie słowami Češť práci<sup>1</sup>!... Beznadzieja.

Recepcjonista przytaknął.

– Wszystko do niczego. Nic, tylko czekać, aż przykryje nas piach.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Przecież skoro wszystko jest beznadziejne, kolejne słowa nie mają już sensu. Język rodzi się bowiem z nadziei i razem z nią umiera. Balogh najchętniej czym prędzej wśliznąłby się do łóżka i schował pod pierzyną. Recepcjonista głęboko westchnął.

– Od kiedy zbudowali elektrownię, to miasto stało się widmem... Stoi tu wprawdzie jeszcze kilka domów, ale ulicy nie ma ani jednej.

<sup>1</sup> Čzešť pracy. W oryginale też po słowacku (przyp. tłum.)

Balogh posmutniał i przybrał współczujący wyraz twarzy.

– Niestety! – ciągnął recepcjonista. – Między nowymi, posępnymi domami wte i wete hula wiatr. Wszystko wypełnia bezduszny chłód.

Balogh wziął klucze i znowu podniósł nieludzko ciężką torbę.

– Po zmroku lepiej nie wychodzić na ulice. Bezpieczeństwo jest tu mniejsze niż w Nowym Jorku – krzyknął za nim recepcjonista.

Nie nosił pokoi hotelowych, więc rozebrał się po ciemku. Okno wychodziło na rynek, z jakichś tajemniczych powodów nieoświetlony. W ciemności namierzył ratusz, pocztę, aptekę i dom towarowy, i poczuł dumę, że dzięki pamięci widzi o wiele dalej niż wszyscy zabłąkani, nowi mieszkańcy miasta razem wzięci.

Maryskę Kuti spalili, ponieważ uwiodła, a potem zamordowała najmłodszego syna sędziego Juhásza. Chłopak był jego najukochańszym dzieckiem, a pewnie i najzdolniejszym. Dlatego też stosu nie podpalił kat, a sam sędzia.

Dziewczyna krzyczała do niego z płomieni:

– Kwaterujesz jezuitów! Twoi potomni tysiąc lat odpokutowywać będą twoje podłości. Dopełnią żywota w piekielnej beznadziei. Niektórzy popełnią samobójstwo, będą wśród nich też chorzy psychicznie. Znajdzie się i taki, którego strawi ogień.

Przed śmiercią ojciec Balogha zdradził mu tajemnicę, że to właśnie oni są bezpośrednimi potomkami sędziego, a nazwisko zawdzięczają jednemu z przodków, który przyjął je po to, by uwolnić się od klątwy.

– Czy możliwe, że to wszystko to tylko legenda? – spytał ojca.

– Bodajby tak było.

– A co jeśli przeszlibyśmy na kalwinizm?

– Niczego by to nie zmieniło. Sędzia Juhász był podłym, okrutnym człowiekiem. Ręce miał splamione krwią dziesiątek niewinnych ludzi.

Baloghowi imponowała rodzinna legenda, ale nigdy nie traktował jej poważnie. Nawet po tym, jak w metrykach rzeczywiście znalazł zapis o zmianie nazwiska przodków, a jeden daleki krewny potwierdził autentyczność historii. O psychicznie chorych albo samobójcach w rodzinie niczego się nie dowiedział. Była to tylko dobrze wymyślona mroczna bajka z dreszczykiem, stworzona w zamierzonej przeszłości, kiedy nie było kina, telewizji i dalekich podróży, a ludzie dużo fantazjowali i wierzyli, że istnieje korytarz w czasie, którym mogą przechodzić i komunikować się z nami przodkowie. Tymczasem Balogh miał świadomość, że czas nie jest procesem, lecz wciąż odnawiającym się okręgiem, nieprzerwaną gonitwą początku i końca. Teraz jednak przerażające piękno legendy działało na niego wyjątkowo. Prawdopodobnie dlatego, że jej wspomnienie było ostatnim silnym łącznikiem z miastem rodzinnym. Przed zaśnięciem wymacał na nocnej szafce telefon i zapytał:

– Niech pan mi powie, jest w hotelu system przeciwpożarowy?

Recepcjonistę jakby trochę to ubodło.

Proszę pana! – podniósł głos, ale zaraz dodał już łagodniej: – Niech pan śpi spokojnie, panie Balogh.

I rzeczywiście Balogh zasnął szybko, ale jego sen wcale nie był spokojny. Śniło mu się, że jest przedpołudnie następnego dnia, a on na dworcu kolejowym próbuje dowiedzieć się, dlaczego nie odjeżdża pospieszny do Bratysławy. Naczelnik stacji ma na głowie spiczasty hełm strażacki, dziwnie na niego patrzy i z cieniem ironii w głosie mówi:

– Stąd od dawna już nic nie jeździ.

– Jak to?

– Tak to. Jestem tu tylko dlatego, że dziś dają mi wypłatę.

– A autobusy?

– Autobusy też nie – kręci głową niepoprawny naczelnik. – Do wielkiego świata nie kursuje stąd ani jeden autobus.

– Świetnie! A gdzie jest postój taksówek?

– Do tego miasta można jedynie wjechać. Kto tu dotrze, już nigdy się stąd nie wy dostanie.

Rano Balogh opowiedział swój sen recepcjoniście, udając, że naczelnik w strażackim hełmie bardzo go ubawił. Recepcjonista śmiał się razem z nim, ale w głębi duszy nie nękał go niepokój. Był piękny słoneczny poranek, któremu uroku dodawała wyśmienita szynka z jajkiem i elegancki, staromodnie uprzejmy personel restauracji. Balogh nie żałował, że przerwał podróż, ale musiał przyznać, że w tym mieście naprawdę nie ma nic do roboty. Kiedy na ulicy rozpoznał wśród przechodniów łodiarza, pana Bandiego, ogarnęła go przelotna nostalgia. Staruszek, wspierając się na kulach, człapał przez poranny pośpiech. Balogh odwrócił od niego wzrok. Pomyślał, że również ten okrąg, który jest jego czasem, niedługo, być może już jutro, zamknie się na zawsze.

Najbliższym autobusem wrócił do Bratysławy i, chociaż Kontsek mógł zrobić to wcześniej, ruszył do Związku Patriotów, by zdać sprawozdanie z akcji werbunkowej. Poszedł prosto do wiceprzewodniczącego, który siedział ze smutną miną za biurkiem i zamiast odpowiedzieć na powitanie, zapytał:

– Gdzie byłeś?

– Zatrzymałem się w swoim mieście rodzinnym. Chyba się starzeję, przez moment dałem się ponieść nostalgii. Zrobiłem coś złego?

– Straszność – szepnął załamany wiceprzewodniczący. – Nic więcej nie umiem powiedzieć poza tym, że to straszne.

– Aż tak nawaliłem?

Wiceprzewodniczący ze starczym trudem wstał zza stołu, podszedł do Balogha i przytulił go.

– Nawet nie wiesz, przyjacielu, jakie masz szczęście.

– No ale co jest?

– Kontsek nie żyje.

– Co takiego?

– Tak – westchnął wiceprzewodniczący. – Nasz przyjaciel Kontsek dzisiejszy obiad jadł już za stołem Pana Boga. Okropne, okropne!

- Ale jak?
- W nocy wjechał samochodem w tira i spalił się na popiół.  
Balogh poprosił o szklankę wody.
- Pewnie zasnął za kierownicą – mruzczał wiceprzewodniczący. – Nie nadawał się do takich męczących podróży. Co za tragedia! Ale ty masz wielkie szczęście, przyjacielu. Pilnuje cię anioł stróż czy coś takiego. Niewiarygodne.
- Powiedzieliś: spalił się?
- Tak.
- Nalej mi coś mocniejszego!
- Wiceprzewodniczący zazwyczaj skąpił alkoholu, teraz jednak nalał wódki do musztardówek.
- Daj mi papierosa!
- Myślałem, że rzucisz.
- Rzuciłem, ale daj.
- Jego biedna żona, jest całkiem rozbita. Zemdląca. kiedy jej powiedzieli.
- Pójdę ją odwiedzić.
- To było takie dobre małżeństwo – lamentował świętoszkowato wiceprzewodniczący.
- Bądź z nią delikatny. To wyjątkowa kobieta. Wychowała czwórkę dzieci.
- Nagle, chociaż w gabinecie nie było przeciągu, papieros Balogha rozżarzył się i sygnął skrami niczym sztuczny ogień.
- Uważaj, wypalisz sobie dziury w koszuli – ostrzegł wiceprzewodniczący.
- Aha, wczoraj szukała cię jakaś Maria Kuti. Dałem jej twój adres.

(1992)



Fotografia – Monika Ekiert-Jezusek



Fotografia – Monika Ekiert-Jezusek